

TA SERIA O GŁOWĘ PRZEWYŻSZA KONKURENCJĘ.

PAT'S FANTASY HOTLIST



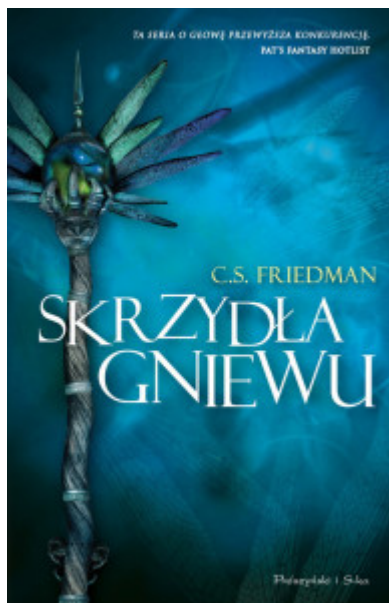
C.S. FRIEDMAN

SKRZYDŁA GNIEWU

Prószyński i S-ka

C.S. Friedman "Skrzydła gniewu" (fragment I)

Fahrenheit Crew



Prolog

Bogowie przybywali.

Chłopiec przywarł do gorącej ziemi. Kurczowo trzymał się zbocza góry poczerniałymi dłońmi. Pokruszone kawałki lawy i grudy popiołu rozpadały się pod jego palcami, paliły mu skórę, ale on prawie nie zwracał na to uwagi. Patrzył czujnie w górę, gdzie gruba warstwa chmur pękła w kilku miejscach, odsłaniając niebo.

Wkrótce przybędą. Muszą przybyć.

Nie odrzucaj tej ofiary.

Poniżej, w przepastnej szarej niecce kaldery sześć dziewcząt kwiliło z bólu i przerażenia. Były młode, w wieku chłopca lub nawet młodsze; z nacięć na tylnej stronie ich nóg spływała po skórze jasna krew. Przed wrzuceniem ich do kaldery kapłani kazali podciąć dziewczynkom ścięgna, żeby nie zrobiły tego, co ofiary z ostatniej grupy, które uciekły na odległy kraniec zagłębienia i rzuciły się do jamy z lawą - wołały to, niż przyjąć swoje przeznaczenie. Bogom nie podobano się jednak, gdy ofiary umierały zbyt szybko. A gdy bogom coś się nie podobano, nadchodził Sen - dzieci umierały, a na polach gniły zbiory, bo brakowało silnych mężczyzn do żniw.

Dziewczynki były przerażone. Chłopiec wzdrygnął się, gdy jedna z nich zawyla przeciągle - nie wiedział która i próbował się nad tym nie zastanawiać. Kraina Słońca była niewielka i znał tu wszystkich, ale gdy jakąś dziewczynkę wybierano na ofiarę, musiała porzucić swoje imię oraz tożsamość i stać się Tawą, służebnicą bogów. Kiedyś biegały razem z nim w cieniu wielkiej góry, żartowały, bawiły się w „Pokaż mi, a ja pokażę tobie”, a teraz szykuje się je na rzeź jak owieczki; czekają na bogów, którzy je pożrą... Nie chciał o tym wszystkim myśleć, to było takie straszne.

Pożywienie. Wprawdzie kapłani nigdy ich w ten sposób nie określali, ale tak naprawdę były

pożywieniem. Wiedział o tym każdy w Kraju Słońca, choć nikt tego głośno nie mówił. Mężczyzna ofiarujący swoją córkę na oblubienicę bogów był zaszczycony, ale gdyby przyznał, że oddaje dziecko na rzeź jak owieczkę, cały zaszczyt umarłby zimną, żalosną śmiercią. Kwiaty wplecione we włosy dziewczyny – ślubny wianek, korona komunii – stałyby się makabrycznym garnirunkiem. Krzyki – pieśń panny młodej witającej wspaniałego narzeczonego – stałyby się pospolitym jękiem prymitywnego, obezwładniającego strachu.

Nic dziwnego, że żaden z mieszkańców wioski nie zostawał tu dłużej, by obejrzeć składanie ofiary do końca. Iluzja świętości mogłaby prysnąć jak bańka mydlana.

Nagle chmury poruszyły się. Chłopiec szybko nabrał powietrza, a wraz z nim trochę wyziewów siarki, od której momentalnie zapiekły go nozdrza. Zakasłał. Zaciśnął powieki, gdy płuca kurczyły mu się spazmatycznie, łzy płynęły po czarnych od sadzy policzkach, a on usiłował zachowywać się bezgłośnie, żeby tylko bogowie nie zwrócili na niego uwagi, zanim nie będzie gotów. Żeby przez pomyłkę nie uznali go za ofiarę.

Gdy udało mu się stłumić kaszel i atak minął, otworzył oczy.

I zobaczył ich.

Jacy czyści, jak bardzo czyści! Chłodne, przejrzyste barwy na tle płonącego nieba, lód na tle ognia. Ich skrzydła przypominały delikatnie poprzecinane żyłkami skrzydła owadów, ale jednocześnie były niezwykle szerokie i tak mocne, że każdy ich ruch wzbijał w górę tuman kurzu i popiołów. Były płachtami niebieskiego morza lodu, chłodzącego z każdym ruchem dymny wiatr. Ich ciała migotały jak ocean o wschodzie księżyca, a na ich skórze igrały iskierki - niebieskie i fiołkowe, i w innych barwach, których chłopiec nawet nie potrafił nazwać. Ześlizgiwali się przez brudne siarkowe opary, a trujące chmury pieniały się za nimi.

Kapłani nauczali, że człowiek, który spojrzy bezpośrednio na bogów, zginie. Wbrew temu ostrzeżeniu chłopiec patrzył na nich jednak z wyraźnym głodem - tak bardzo pragnął być świadkiem wielkości ich mocy, by ją zrozumieć, by ją posiadać.

Jedno po drugim wielkie stworzenia opuszczały się z chmur i zakręcały pod warstwą gorącego dymu, sunąc nad kalderą. Dziewczynki przestały lamentować. Drżały ze strachu, tylko jedna z nich jęczała z bólu, gdy szerokie skrzydła wzbudzały wokół niej wiry w zadymionym powietrzu, ale reszta zachowywała się spokojnie, zahipnotyzowana widokiem skrzydlatych narzeczonych. Nawet ze swojego odległego miejsca chłopiec czuł czystą siłę obecności bogów i krew tężała mu ze strachu. Jednocześnie jego ciało reagowało dziwnie, jakby oglądał nagie dziewczynki kąpiące się w gorącym źródle. Nie mógł się ruszyć. W ciszy obserwował, jak stworzenia nurkują po kolei nad ofiarami. Panny młode jakby zapomniały o bólu, położyły się na gorącym gruncie i rozpostarły ramiona, witając stworzenia, tak jak mogłyby witać upragnionego kochanka. Chłopiec nie mógł oderwać oczu od tej równie groteskowej, co fascynującej sceny.

Żaden z bogów jeszcze go nie dostrzegł, a jeśli nawet, to żaden nie uznał go za coś, na co warto zwrócić uwagę. Czy kiedykolwiek jakiś chłopiec był tak blisko bogów, nie będąc jednocześnie poświęconym jako ofiara? Po raz pierwszy, odkąd opuścił dom, pomyślał, że może naprawdę będzie żył na tyle długo, żeby do końca zrealizować swój plan.

A jeśli plan się powiedzie... jeśli się powiedzie...

Nawet nie śmiał o tym myśleć.

Jedna dziewczynka była już martwa - tak mu się wydawało - ale nie potrafił stwierdzić, co ją zabiło.

Wielki bóg o kobaltowo-ametystowych skrzydłach zapikował w jej stronę, jakby chciał w nią uderzyć, ale nagle poderwał się w górę i dołączył do swoich towarzyszy, a jego krzyk wypełnił kalderę. Nie dotknął jej nawet, chłopiec był tego pewien, jednak dziewczynka zachowywała się dziwnie spokojnie, była nieruchoma, jakby wyssano z niej wszystkie siły vitalne. Jej śmierć nastąpiła tak szybko i cicho, że pozostałe dziewczynki nawet się nie zorientowały. A może były tak skupione na tym, by ofiarować siebie swym narzeczonemu, że nic innego je nie obchodziło? Wtedy chłopiec zobaczył to, na co cały czas czekał.

Na grzbiecie jednego z bogów siedział jeździec. Na pierwszy rzut oka bardziej przypominał owada niż człowieka. Jego nogi i ręce pokrywała niebieskoczarna materia, niewiele różniąca się od skóry samego zwierzęcia, i trudno było określić, gdzie zaczyna się jedno stworzenie, a kończy drugie. Mniejsze skrzydła boga odchyłały się do tyłu, otaczały jeźdźcę, tak że całość sprawiała wrażenie połyskliwej poczwarki. Chłopiec widział, jak powierzchnia tego kokonu rozdziela się powoli i niczym szarańcza w okresie godowym wylania się z niego lokator.

Serce chłopca zamarło na chwilę. Przez moment świat stanął w miejscu.

A więc legendy mówią prawdę.

Istota siedząca na grzbiecie boga była człowiekiem. Nie pochodziła z tego samego ludu co chłopiec, lecz była na tyle podobna do człowieka, że bez wątpienia nie można by jej uznać za nic innego niż istotę ludzką. W odróżnieniu od chłopca, skórę miała bladą o dziwnym, niezdrowym odcieniu przypominającym kolor zsiadłego mleka. Długie włosy były zmierzwiłone, brudne i tłuste. Dopasowana zbroja wydawała się śliska od oleju, a promienie światła tańczyły na jej powierzchni feerią ciemnych tęczy. Ten widok przyprawiał o dreszcze, ale bez wątpienia był bardzo ludzki. I to było najważniejsze.

Zbierając się na odwagę, chłopiec wziął głęboki oddech. Teraz. Teraz jest odpowiedni moment.

Wstał.

Nogi mu drżały, nie tylko od mozolnej wspinaczki. Przez chwilę obawiał się, że nie zdoła ustać, i krajobraz zawirował mu przed oczami. Potem siłą woli ustabilizował obraz i zmusił drżące nogi, by utrzymały go w pionie. Czy miał inny wybór? Bogowie go obserwowali. Gdyby okazał słabość, równie dobrze mógłby rzucić się w otchłań kaldery, dołączyć do innych ofiar i pozwolić, by bogowie go pożarli.

Gdy uznał, że nogi trzymają go bezpiecznie, wciągnął powietrze na tyle głęboko, na ile pozwalały mu skurczone płuca, zamknął na chwilę oczy, by skoncentrować swego ducha, i wydał z siebie bezkształtny krzyk, jakiego żadna żyjąca istota nie mogła nie usłyszeć. Dźwięk odbił się echem w kalderze i wzniósł wyżej, w opary dymu.

Bogowie ciągle krążyli na górze, ale chłopiec wiedział, że go usłyszeli.

Otworzył oczy i rozejrzał się za bogiem z jeźdźcem na grzbiecie. Nie pikował nisko, by się pożywiać, ale krążył wyżej, nad innymi. Czy dostrzegł chłopca? Czy gdyby coś do niego krzyknął, bóg zrozumiałby jego słowa? Wulkan w dole dudnił, odłamki pumeksu osuwały się pod stopami chłopca. Czy bogowie porozumiewali się dźwiękami jak zwierzęta i ludzie, czy może robili to za pośrednictwem wulkanów? Jakże niewiele było o nich wiadomo!

Wtedy chłopiec dostrzegł skupione na sobie spojrzenie jeźdźcy – spojrzenie niewątpliwie ludzkie, niezdolne pogardliwe – i zrozumiał, że musi wykorzystać ten moment albo straci go na zawsze.

- Zabierz mnie ze sobą! - poprosił. - Będę służył bogom!

Miał wrażenie, że ani człowiek, ani jego wierzchowiec nie usłyszeli go. Wrzasnął więc ponownie, jeszcze głośniejsze.

Zbocze góry pod jego stopami znów zadudniło. Powiew gorących siarkowych oparów uderzył go w nozdrza.

- Jestem silny! - krzyczał. - Przeżyłem próbę lodu i próbę rozżarzonych kamieni! Polowałem na lwa morskiego i powaliłem polarnego niedźwiedzia! Jestem na tyle dzielny, by stawić czoło gniewowi ziemi...

By tu przyjść, chciał powiedzieć. Jestem na tyle dzielny, by wspiąć się na Górę Ofiar i stanąć tu przed tobą bez broni, bez zbroi, bez żadnej ochrony przed gniewem bogów; mam tylko niezłomną wiarę, że mógłbym stanowić dla nich pewną wartość.

Oczy mężczyzny były zimne, nieruchome. Jak oczy jaszczurki.

Potem odwrócił się.

Chłopiec zawył z wściekłości. Z prymitywnej części jego duszy dobył się dziki, prymitywny dźwięk. Jedna z dziewcząt spojrzała w górę, by odnaleźć źródło tego wycia, ale szybko odwróciła wzrok z powrotem na skrzydlatych narzeczonych. Czy rozpoznała w nim chłopca, z którym biegała, bawiła się, któremu powierzała swoje sekrety? A może widziała tylko umorusanego sadzą zwierzaka, wyjącego ochryple w niebo, jak mogłaby wyć foka, której jakaś drapieżna bestia odbiera życie?

Wtedy jeden z bogów zatopił w niej szpony i szarpnął ją w górę; jej kark pękł z wyraźnym trzaskiem. Najwidoczniej bogowie chcieli mieć mimo wszystko świeże mięso.

Żaden z nich nie zareagował na obecność chłopca.

Żaden.

- Zabierzcie mnie z sobą! - krzyczał głosem ochryłym z frustracji. - Jestem taki jak wy!

Teraz bogowie wznosili się w czarne chmury. Niektórym ze szponów zwisały bezwładne ciała dziewczynek niczym popsute lalki. Ofiara została przyjęta.

Jeździec spojrzał na chłopca, a potem się odwrócił. Jego wierzchowiec zataczał coraz wyższe kręgi, a szkliste skrzydła znów się wywinęły i go objęły.

- ZABIERZCIE MNIE Z SOBĄ!!!

Wtem coś uderzyło go od tyłu, wybijając mu oddech z płuc. Spadłby w kalderę, gdyby nie pochwyciły go ostre pazury. Chłopiec poczuł, że gwałtownie podrywa się w powietrze. W głowie mu się kręciło, pofragmentowane obrazy świata wpływały w jego pole widzenia, niespójne, nierzeczywiste. Wiry trującego dymu. Niebieskoczarne skrzydła bijące powietrze ponad jego głową, ziemia uciekająca z każdym machnięciem skrzydeł. W dali poza Krainą Słońca widział rozległe pole bieli rozciągające się od horyzontu do horyzontu. Bezkresne. Nieznające litości.

Będę wam służył, obiecał bogom. Najlepiej ze wszystkich. Przekonacie się.

Bogowie nie odpowiedzieli.